

Turecka napaść na syryjskich Kurdów. Kto jest terrorystą?

23 stycznia 2018

Rozpoczęta niedawno ofensywa turecka w Afrin – autonomicznym regionie kurdyjskim w północno-zachodniej Syrii – jest konsekwencją amerykańskiego pomysłu na utworzenie w północno-wschodniej Syrii 30-tysięcznych „sił ochrony granicy”. Ich trzonem mają być SDF – Syryjskie Siły Demokratyczne złożone głównie z kurdyjskich oddziałów YPG – Ludowych Jednostek Ochrony. Kurdowie pragną wyrwać się z marginesu polityki międzynarodowej – zamiast tego regularnie padają jej ofiarą.

Kurdowie w Syrii mają status „terrorystów” lub „cennych sojuszników” – w zależności od państwa, które prowadzi działania polityczno-zbrojne w Syrii. Turcja uważa ich akurat za „terrorystów”, ze względu na separatystyczne dążenia tureckich Kurdów, szczególnie tych związanych z PKK – Partią Pracujących Kurdystanu, której syryjski oddział, pod nazwą Partii Unii Demokratycznej (PYD) kieruje kurdyjską autonomią na północy kraju. Zbrojnym ramieniem PYD są YPG – Ludowe Jednostki Ochrony – dziś właściwie oficjalna armia kurdyjskiej autonomii w Syrii. Nazewniczy galimatias jest funkcją zmiany sojuszy, do których doszło w czasie syryjskiej wojny.

Jeszcze do niedawna Stany Zjednoczone uważały, podobnie jak Turcja, że PKK i wszelkie emanacje polityczno-zbrojne tej partii w Turcji i Syrii to „terroryści”. Powód był prosty: Turcja to sojusznik USA w NATO, więc niepodległościowe dążenia Kurdów Amerykanie mieli za nic. Na dodatek PKK to partia lewicowa. Stany Zjednoczone od 1984 r., tj. od rozpoczęcia walki partyzanckiej przez PKK, wspomagały Turcję w niszczeniu kurdyjskich aspiracji. Turcja korzystała też z pomocy Izraela, szczególnie oficerów wyspecjalizowanych w przesłuchaniach za pomocą tortur. Izraelczycy, wytrenowani w tej kwestii na Palestyńczykach, uczestniczyli w ten sposób w walce z

kurdyjską partyzantką w Turcji, ale była to właściwie jedynie usługa na rzecz Ameryki. Jednak to się zmieniło.

TURECKIE ROZCZAROWANIE

Kiedy Amerykanie w 2015 r. zaczęli tracić serce dla Państwa Islamskiego (PI), postanowili postawić na syryjskich i irackich Kurdów do – z jednej strony – wykorzystania ich przeciw rządowi syryjskiemu, a z drugiej – do walki z niepotrzebnym już PI. Nie chcieli wówczas drażnić Turcji Erdogana, więc poradzili Kurdom, by nadali nową nazwę swoim oddziałom zbrojnym: tak powstały SDF – Syryjskie Siły Demokratyczne. Nadal była to emanacja PKK, ale pod nową nazwą przestali być dla Amerykanów „terrorystami”. Zdezorientowani Turcy zaczęli wietrzyć „amerykańską zdradę”, bo wcześniej Turcja była przekonana, że USA popierają PI, które przeciw Kurdom, „prawdziwym terrorystom”, walczyło dokładnie tak, jak wcześniej Turcja, Izrael i sama Ameryka. Do pełni obrazu należy dodać, że Turcja uważała PI za „rodzaj islamskiej rewolucji” i była skłonna zgodzić się na otwarcie oficjalnego konsulatu PI w Stambule, sądząc, że to będzie po myśli amerykańskiego sojusznika.

Zmiana amerykańskiej koncepcji rozegrania wojny syryjskiej, potem próba zamachu stanu w Turcji (Erdogan do dziś widzi w nim „amerykańską rękę”), potem seria zamachów „zdradzonego” PI w Turcji, przekonała Ankarę do zmian w sojuszach. Niespodziewane zbliżenie z Rosją miało być odpowiedzią na amerykańską zmianę frontu. A dlaczego Kurdowie, dotąd antyamerykańscy, weszli w deal z USA? Z ich punktu widzenia „wykorzystują” amerykańską politykę, by się wzmocnić – w końcu USA dostarcza tyle broni, że wystarczy nie tylko Kurdom w Syrii, ale i w Turcji. To oczywiście doprowadza Erdogana do rozpaczy. Na dodatek dawny izraelski sojusznik antykurdyjski aktywnie wspiera teraz aspiracje niepodległościowe Kurdów w Iraku, zgodnie ze swą polityką rozbijania tego państwa. Antyturecka „zdrada” Izraela przepełniła czarę goryczy.

AMERYKANIE I ROSJANIE

„Ameryka przyznała, że jest w trakcie formowania terrorystycznej armii u naszych granic. Zgnieciemy ją w zarodku” – taka była reakcja prezydenta Erdogana na ogłoszony w zeszłym tygodniu przez szefa amerykańskiej dyplomacji Rexa Tillersona zamiar utworzenia kurdyjskich „sił granicznych” na północy Syrii, jak i trwałe pozostawienie tam sił amerykańskich (oczywiście nielegalnie). Dla Amerykanów to sposób na utrzymanie pożądanego chaosu w Syrii. Domagają się go dwaj najważniejsi sojusznicy USA w regionie: Izrael i Arabia Saudyjska, oczekując powstrzymania domniemanych wpływów irańskich. Iran, który wraz z Rosją pomógł Syrii pozbyć się większości oddziałów PI, jest stałą solą w oku Izraela i Arabii.

Rosja z kolei jest zbyt zadowolona ze świeżej tureckiej antyamerykańskości, by specjalnie litować się nad Kurdami z Afrinu. Po ogłoszeniu przez Tillersona amerykańskiego pomysłu na kurdyjską armię, w czwartek do Moskwy polecieeli dowódca naczelny armii tureckiej Hulusi Akar i Hakan Fidan – szef tureckiego wywiadu, by uzyskać rosyjskie zielone światło dla interwencji w Afrin. Uzyskali je prawdopodobnie w zamian za zmniejszenie poparcia Turków dla islamistów z Idlibu, z którymi walczą syryjskie wojska rządowe. Amerykanie też nie ruszą palcem w obronie Kurdów (poza wyrażeniem niezadowolenia), gdyż Afrin jest małym, peryferyjnym regionem kurdyjskiego zasięgu politycznego i jego ewentualny upadek nie zaszkodzi świeżej „prokurdyjskiej” polityce Ameryki w Syrii.

DLACZEGO AFRIN?

Dla rządu syryjskiego to nie Kurdowie są „terrorystami”, lecz protureckie oddziały dawnej Al-Ka’idy i PI z Idlibu, wspomagane przez Stany Zjednoczone, zanim zmieniły front na prokurdyjski. To one odcinają Afrin od reszty terytorium syryjskiego i pobliskiego Aleppo. Podobnie jak Rosjanie, rząd syryjski liczy, że YPG obronią Afrin. Dlaczego rząd syryjski

popiera Kurdów, którzy są teraz teoretycznie proamerykańscy? Po pierwsze dlatego, że są oni Syryjczykami, a po drugie dlatego, że wcale nie są tak wrodoży rządowi Baszara al-Asada, jak chcieliby tego Amerykanie. Afrin był w 2012 r. pierwszym kurdyjskim regionem, który wprowadził autonomiczną administrację kurdyjską i zachował w wojnie „neutralność” ze wskazaniem na rząd syryjski. Dżihadyści z Al-Kaidy popierani na początku wojny przez USA, Izrael, Turcję, Francję i Arabię Saudyjską walczyli przecież tak samo przeciw Kurdom, jak i przeciw rządowi syryjskiemu.

Dlaczego Turcy zaatakowali akurat Afrin? Bo jest on jawnie i całkowicie oddany sprawie kurdyjskiej w Turcji. Graniczący z Turcją, górzysty Afrin to kilkaset miasteczek i wsi utrzymujących się głównie z rolnictwa (słynne w Syrii są tamtejsze plantacje drzew oliwnych), w których na każdym widocznym miejscu wiszą portrety Abdullaha Öcalana, bohatera narodowego Kurdów, więzionego przez Turków za „terroryzm”. Historyczny przywódca PKK oczywiście w pełni popiera swoich rodaków z Afrinu, a amerykańska nazwa – SDF – nie robi na nim żadnego wrażenia, jako „okolicznościowa”. Dla syryjskich i tureckich Kurdów Afrin jest rodzajem laboratorium stałej autonomii. Różnica jest taka, że Syria się na nią zgadza, podczas gdy Turcja oczywiście nie, gdyż widzi w niej zapowiedź rozpadu swego państwa.

GAŁĄZKA NA WIETRZE

W niedzielę 21 stycznia premier Turcji Binali Yildirim ogłosił, że tureckie wojsko „weszło” do Afrinu, ale to wcale nie znaczy, że sprawa jest załatwiona. Kurdowie od lat przygotowywali się na taką inwazję. W Afrinie zbudowano wiele umocnień, a broni dostarczali im nie tylko Amerykanie, ale i rząd syryjski oraz Rosjanie. To brzmi dość surrealistycznie, biorąc pod uwagę zwyczajowe sojusze, lecz należy pamiętać, że w awanturze syryjskiej stałe alianse nie są tak stałe, jak by się wydawało.

Tak, czy inaczej, turecka interwencja jeszcze bardziej skomplikuje sytuację w Syrii i przyczyni się do kolejnych nieszczęść, niezależnie od tego kto kogo uważa za „terrorystów”. Są doniesienia o pierwszych ofiarach tureckiej ofensywy wojennej pod pokojową – jakżeby inaczej? – nazwą „Gałązka oliwna”. Ruch polityczny jest teraz po stronie amerykańskiej, jednak polityka syryjska Trumpa pozostaje teraz zbyt niejasna, by cokolwiek wywróżyć.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu